Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 31. POZNAŃ, DNIA 1. SIERPNIA. **1842.**

Literatura zagraniczna.

Geschichte der Philosophie seit Kant
von
Dr. Chr. J. Braniß.
Erster Theil. Einleitung, enthaltend eine Uebersicht der philosophischen Entwickelung in der alten und mittlern Zeit.
Breslau, bei Joseph Max und Comp. 1842.

(Dalszy ciąg.)

I. *Stanowisko pojmowania.*

Dwa pierwsze okresy filozofii pod względem rozwitéj w nich idei przeciwległemi będąc, nie mogą być co do treści swojéj przypadkowémi, ale raczéj ich sprzeczna przeciwległość, w istocie poznającego ducha uzasadnienie swoje znajdować musi; muszą w duchu samym dwie przeciwne idee, *a priori* spoczywać, które duch *in concreto* w tych dwóch okresach z siebie wysnuł i wyrobił, i zewnątrz siebie jako swój dobytek w wiedzy wystawił. Przeto uznał autor za rzecz niezbędną wykazać choć tylko przytocznie (assertorisch) zasadę to zjawisko wysadzającą, a na sprzeczności idei, w istocie ducha spoczywającéj opartą.

To zaś tym sposobem uskutecznia.

Idea duchowi właściwa nie może do ducha z zewnątrz się dobyć, lecz duch ją sam przez się posiada, i sam z siebie dobywa.

Pierwotna posiadłość ducha bowiem polega na tém, że się duch sam posiada, czyli że wie sam o sobie, a przeto krócéj na samowiedzy. To zaś, co jest istotną treścią téj samowiedzy rozwijającéj się w duchu bez pomocy wszelkiéj innéj zewnętrznéj czyli zaduchowéj potęgi, jest właściwą własnością ducha. Zatem jaka bądź idea w duchu tkwiąca (dem Geiste immanent) nie jest niczém od ducha różniącém się, niczém zaduchowém, lecz istotnie duchem samym. Chcąc więc wykazać przeciwieństwo ideowe w dwóch pierwszych peryodach filozofii, jako konieczny wytrysk ducha filozofującego objawione, wykazać trzeba, że jest koniecznym następniczym wypływem sprzecznéj istotliwości (Wesenheit), którą duch sam w sobie nosi.

Zagadnienie to znajduje swoje rozwiązanie w następującém zdaniu, że duch ludzki jest 1) ideą natury się wiedzącéj, i 2) ideą absolutnego ducha czyli boga.

Lecz oprócz tego jest duch i duchem pojedyńczego człowieka, a jako taki wie się odrębnie od świata i od boga samym sobą, będącym czém inném od natury i boga. Przeto istota ducha w zupełności swojéj w troistéj idei subjektywności, samowiedzy natury, i absolutnego ducha pojętą być musi.

Po wykazaniu, że duch subjektywny w swym zewnętrznym pojawie jest tylko przypadkowym i czasowym, i że tylko swą pracą, przyczyniającą się do zrzeczywiszczenia dwóch powyższych idei zasubjektywnych, a jednakże w subjekcie i przez subjekt swoją realizacyą znajdujących, staje się koniecznym i nieskończonym, wyświeca autor, jak historya będąca objawem ducha subjektywnego, rozpadłego w swéj dążności do samowiedzy natury i do samowiedzy absolutnego ducha, koniecznie w dwóch wielkich postaciach ery przedchrześciańskiéj i ery chrześciańskiéj wystąpić musiała. Odtąd dla ważności przedmiotu i dla głębokiego i trafnego roztrząśnienia go, najlepiéj będzie własne słowa Branissa, stanowiące koniec tego rozdziału, w przekładzie przytoczyć.

Era przedchrześciańska zawiera rozwijający się spór między tém, co naturalne, a tém, co boskie, i realizujące się spośredniczenie, aż do wydania jedności, w któréj nastaje zgoda. Chrześciańska era polega

na przedsądzie (Voraussetzung), że ta zgoda już spełniona, i ma za treść swoją okazanie téjże jako zwycięskiéj potęgi, która to, co naturalne, boską wolnością poświęca, a boskości w naturze odpowiednie ciało nadaje. Z subjektu zaś wychodzi ruch historyczny, i w nim znajduje swoje ukończenie: starożytna historya kończy się na powstaniu boga-człowieka, a koniec chrześciańskiéj ery, jeszcze w łonie przyszłości spoczywający, przyczepia się, podług chrześciańskiéj wiedzy, znowu do ukazania się boga-człowieka.

Lecz przedewszystkiém tu nam na tém zależy, aby początek historyi w subjekcie określniéj wykazać, a pod tym względem, co się tyczy przyrodzonego żywiołu, już powyżéj nadmieniono, że subjekt w wiedzy swojéj ciałowości, bezpośrednią wiedzę samego siebie jako natury ma, która się potém wraz z postępem historyi co raz obficiéj i głębiéj w uniwersalną samowiedzę natury rozszérza. Równie bezpośrednio atoli objawia się też i boski żywioł historyi w subjektywnéj samowiedzy jako istotny moment téjże. Człowiek jest *wolą*; jest nią bezpośrednio, skoro zawie o sobie, a nawet przejście z bezprzytomności (Bewußtlosigkeit) do samowiedzy, jest tylko wyrazem czystego aktu woli. Wola zaś jest bezpośrednią manifestacyą wolności, i ma przeto równie bezpośrednio negacyą przyrodzoności (Natürlichkeit) za treść. Człowiek nie jest subjektem, nie będąc chcącym; jego czysta subjektywność jest pojedyńczém chceniem samego siebie. Lecz człowiek nie chce siebie takim, jakim się znajduje, lecz chce się mieć wynikiem swéj własnéj woli: jego byt ma z jego woli wypływać. Lecz jego byt nie podoba mu się, jako taki, który już zastał, i właśnie tylko dla tego, że go zastał; przeto jego chcenie samego siebie, samo przez się, jest niechceniem samego siebie jako zastałego. To niechcenie atoli nie znosi jego znalezienia siebie, i tak widzimy, jak w czystéj subjektywności razem z jéj rodzeniem się wewnętrzna kontradykcya powstaje, mocą któréj człowiek tém się wie, czém się zastaje, a tém samém swój byt (Dasein) potwierdza, z drugiéj strony atoli siebie nie chce takim, jakim się zastaje, i przeto swemu bytowi przeczy. Z obu równie dla subjektu istotnych sprzecznych momentów affirmacyi i negacyi samego siebie, zawiéra pierwsza naturową istotę ludzkiego ducha; negacya zaś jest bezpośrednim wyrazem jego wolnéj, a przeto boskiéj istotliwości. Na pierwszy rzut przedstawia się nam wprawdzie jego affirmacya w formie wiedzy, jego negacya zaś w formie woli, lecz po ściślejszém rozważeniu równie w owéj wiedzy chcenie jako moment zawartém jest, jak w témże chceniu wiedza. Jest bowiem subjektowi właściwém, że nie tylko swój byt napotkany potwierdza, lecz że przy tém potwierdzeniu obstaje; to obstawanie człowieka przy jego napotkanym bycie jest naturalném chceniem samego siebie, będącém nierozłącznéem od wiedzy samego siebie. Przyrodzona miłość samego siebie, popęd do utrzymania samego siebie, ważną rolę w życiu subjektu odgrywające, i w wszystkich jego ograniczonych interesach tego świata przewodniczące; są objawami owego chcenia, mocno człowieka do świata zewnętrznego przywięzującego, który go przez to w swoje kajdany okuwa; człowiek uznaje w tém nie tylko swoją zależność od natury, lecz znajduje nawet w téj zależności swoje zadowolnienie i rozkosz. Tak naprzeciw wolnéj boskiéj woli występuje przyrodzona niewolna wola, która równie swoją władzę w państwie skończonego i przypadkowego bytu człowieka wywiera, jak z drugiéj strony wolna wola swoją potęgą śmiertelnego do bóstwa podnosi. Wewnętrzna kontradykcya subjektywności tak się jeszcze wyraźniéj wykaże: człowiek chce, czego nie chce, i na odwrót.

(*Dalszy ciąg nastąpi w numerze 33.*)

Literatura krajowa.

POEZYA.

W IMIONNIKU.

Rozwiać się w błękit, wziąść skrzydeł od chmury,
Lecieć, gdzie same zechcą ponieść wiatry,
Nad Babią-Górę, gdzieś tam ponad Tatry,
Byle wysoko — i wyżéj — do góry! —

Nad padoł ziemi — kędy wieczna burza,
Całą ludzkością jak falą pomiata,
I w kale brudnéj niewoli ponurza —
O chciałbym wzlecieć za granicę świata!

Tutaj tak ciasno — wszędy zwichniesz skrzydła;
Tutaj tak ciemno — nie rozpostrzesz wzroku;
Na lot swobody rozstawione sidła,
Zazdroszczę tobie — swobodny obłoku!

Choć ciało cięży do środka ziemicy,
Duch wolny nie zna ziemskiego pogrzebu,
Rozwija skrzydła lotem błyskawicy,
W dziedziny wolne wzbija się ku niebu!

„Być albo nie być!“ — woła wieszcz zwątpiały;
Wszak rozbrat z ziemią nie rozwiąże bytu,
Tylko się w bezdeń rozstrzeli błękitu,
Dość jednéj chwili — tam ocean, tu skały!

O! lepiéj płynąć, jak tu gnić na skale,
O! lepiéj lecieć, jak pełzać robakiem,
Płynąć, czy lecieć — gdzie poniosą fale;
Lećmy — popłyńmy — falą albo ptakiem!

Żegnam cię ziemio, bryło lodowata:
Roztwieram dłonie, — mam lecieć, czy płynąć?
Wszystko mi jedno — dość żyłem dla świata;
Stało się! już czas odpłynąć. —

Już czas odlecieć — o nie żądam wieści:
Szyderstwa uśmiech, czy obudzę żal,
Wszystko mi jedno — co mi płacz niewieści!
Co mi szyderstwo! — w sercu tkwi już stal!

F. Ż.

Nowsze piśmiennictwo polskie.

(*Dokończenie.*)

Zaczynam od Literatury nauk pozytywnych, fachowych, przyrodzonych, przemysłu. Z góry powiedzieć pewnie będzie można, że gałąź ta literatury jest u nas najuboższa z wszystkich; co jest zupełnie naturalnym wypływem stósunków li charakteru czasu. Od chwili zamknięcia uniwersytetu wileńskiego nic ważniejszego się u nas w tym rodzaju nie pojawiło, i nikt pewnie fałszem tego nie nazwie, że co od czasów Śniadeckich wyszło, nie mogło wielkiéj uwagi na siebie zwrócić. — Nic dziwnego; natura nauk takich koniecznie wymaga wykładu ustnego po szkołach, uniwersytetach i innych publ. zakładach naukowych; gdy zaś wszystko u nas wykłada się w języku obcym: jakież pobudki i owoce, a nawet jakież zasługi miałby pracujący i wydający dzieła tego rodzaju w języku polskim? Nie jest to patryotyczna exkuza narodowéj nieudolności: bo przecież wiadomo, że jeżeli jakie, to to właśnie pole bujnie niegdyś kwitło w staréj Polsce, widać więc, że i teraz byłyby i chęci i zdolności po temu, gdyby położenie sprzyjało. Ale jest jednak coś, czego wytłumaczyć sobie nie można. Czemu oprócz kilku krótszych dzieł Lelewela, które raczéj nagromadzeniem materyałów nazwać można, do tego czasu porządnéj historyi polskiéj w całości nie mamy, czemu czekamy, aż nam ją Röpell napisze? Na to trudno odpowiedzieć; wstyd prawdziwy; od Niemców przyjdzie nam uczyć się historyi polskiéj!! Nie jestże to cechą mało obudzonego ducha i chęci ospałych? —

Opuszczając pole to dosyć chudobne i puste, przechodzę do oznaczonéj zaraz jako pierwszą przezemnie: Literatury myśli, t. j. filozofii czystéj, ogólnéj — i zastósowanéj. Alić na małą pociechę moję spostrzegam tu równe prawie ubóstwo, jak w naukach przyrodzonych i t. d. Na kilku monografiach (po większéj części w jezyku niemieckim albo francuzkim), kilku rozprawach filozoficznych, umieszczonych w peryodycznych pismach, rzadkich i przerywanych milczeniem odezwach, — wreszcie na pismach emigracyjnych, *jeżeli* je można w ogóle do rodzaju tego pism policzyć, zakończyć mi pewnie trzeba będzie to wyliczanie. Mała chluba! Przynajmniéj to nam pociechą być może, że nie z niedbalstwa i opieszałości ducha, ale z koniecznego porządku rozwoju literatury wypada, żeśmy do filozoficznych badań postąpić jeszcze nie mogli. Nie dawnośmy się wzbili do tego stanowiska, z którego na ideę prawdy w bezpośrednim poglądzie wejrzeć pozwolone; trudno żądać, aby zaraz w właściwéj swéj formie jako myśl w pojęciu wpłynęła nam do świadomości. Że jednakże potrzeba tego z wszystkich stron czuć się daje, tego pewnie nie długo trzebaby dowodzić, zwłaszcza tym, którzy się przekonali, że nauka filozofii (chociaż ją Witwicki tak przeklina) jest podstawą i warunkiem wszelkiego życia umysłowego, jeżeli takowe ma być postępowi czasu odpowiedne i coraz wyższy stopień oświaty zajmujące. Sztuki nawet kroku daléj nie postąpią, jeżeli ogół nie wzniesie się do wyższego pojmowania rzeczy. Ostatniego tego twierdzenia znowu tu zaraz bronić nie będę, bo jeszcze przy literaturze sztuki obszerniéj o tém pomówię: dla jasności jednak związku, to tu tylko jeszcze dodam, że przekonaniem jest mojém, że póki trzeźwiéj na całą dziedzinę sztuki nie spojrzemy: nie zakwitnie narodowy nam dramat.

Tak wysoko ceniąc wpływ nauk wyższych, prawdziwie duchowych, ubolewać musimy, że tak mało dotąd nadziei, aby umiejętność ta wkrótce w wnętrze narodu naszego wpłynęła i zamieniła się w soki jego żywotne. Mężów, potrzebę czasu pojmujących, zwracających uwagę ogółu do tego warunku wszelkiego postępu, łatwoby było wymienić (co już dostatecznym małéj ich liczby dowodem); reszta szarzeje jeszcze w tym względzie mniéj więcéj przesądem, i Bog wie, kiedy słońce, oświecające te przerosłe ogół wierzchołki, ogrzeje i niższe, a dotąd ocienione niziny.

Ta tylko, a nie żadna inna nauka, jest zdolna po-

łączyć te teraz właśnie tak rozstrzelone kierunki czynności narodowego ducha; ona jest konieczna, jeżeli kiedy do jednego punktu powrócić mają, i ją też rozumieliśmy, mówiąc przy końcu pierwszego podziału literatury na gruppy albo massy o zaradzeniu téj anarchii literackiéj. Jak błędne owce, przyznać trzeba, pracujemy każdy w czém inném; każdy dąży swoją drogą, za innym celem, i tak mijamy się z osiągnieniem zamiaru, który wszystkim bezustannie powinien być wspólny. Rozpierzchnięte takie dążenia będą bardzo szkodliwe, jeżeli nie wystąpi albo mąż silnéj woli, świadom czasu i potrzeb narodu, albo pismo — organ postępu — za tendencyą mające, poprowadzić naród naprzód, podnieść go do stanowiska, na którém stojąc, z oświatą reszty Europy mógł się będzie równać, zetrzeć mu mgłę z oczu, by jasnym, potoczystym oka zwrotem zawsze się widział w całości, i przekonał się wreszcie, że to już przecie 19ty wiek po Chrystusie, wiek wykolebany rewolucyą francuzką, noszący wielką minę w swém łonie: źle mowię dziać się będzie w literaturze, jeżeli pismo takie nie wystąpi, nie zwróci wszystkich uwagi ku sobie i nie zjednoczy ich przez to. Żądanie to nie przechodzi sił narodu. Mamy przecie mężów, chociaż w szczupłéj liczbie, którzy z chlubą narodowi przodkować potrafią.

Pismo to, zdaje mi się, wyróżniłoby nową znowu gruppę w literaturze z właściwą sobie i cechą i tendencyą. Z jednéj strony podnosić ogół bardziéj stanowczo ku wyższéj oświacie: z drugiéj strony zjednoczyć porozdzierane w literaturze nawet prowincye: oto zadanie dzisiejszego czasu. Drugiemu temu zadaniu odpowiedziećby tylko można przez krytykę; bo ona tylko niweczyć może i zapory graniczne i odległość; jakiéj zaś krytyki i czemu wymagam, o tém obszernie przy Lit. sztuki. Gdyby chodziło o nazwę dla téj nowéj gruppy, jakiéj czuję potrzebę, nazwałbym ją kresem bezpośredniego tworzenia i myślenia. Czas zacząć *tworzyć*! Nie potrzeba pewnie rozszerzać się, co to jest tworzyć. Bez wątpienia nie.

Ich singe, wie der Vogel singt,
Der in den Zweigen wohnet;
Das Lied, das aus der Kehle dringt,
Ist Lohn, i t. d.

Z radością i uśmiechem zadowolnienia zbliżam się do części literatury, będącéj kwiatem i chlubą naszą, ucieczką przed wyrzutami ubóstwa, twierdzą jedyną przeciw zawistnym sławy cudzoziemcom — do literatury sztuki — poezyi. 1)

Poezya główną dotychczas jest treścią literatury naszéj. Wszystko, o czém dotychczas mówiłem, albo dopiero zaczyna wschodzić u nas, albo wcale dotąd jeszcze nie zeszło: poezya od pierwszéj chwili do dziś dnia nas nie opuszcza; jak potok pędzi spieniona; a im daléj oddalona od źródła, tém głośniejsza, gwałtowniejsza i potężniejsza; nic nie zdolne stanąć jéj na zawadzie; rwie brzegi, by po całéj wylać się przestrzeni; wysadza zapory i porogi, tocząc je przed sobą precz ku morzu, by nie zalegały jéj głębi; i pędzi, przybierając widocznie. Jak dotychczas, tak i na przyszłość piękne zielenią dla poezyi nadzieje. Słowacki, Goszczyński, Siemieński, Magnuszewski, i cały szereg wyliczyćbyśmy mogli mężów silnych natchnieniem, własnych naszych narodowością i zamiłowaniem ludu; którzy w części wykolebali i wypielęgnowali pieśń ojczystą z niemowlęctwa poezyi gminnéj, wszyscy właśnie w wieku, gdzie piorunne natchnienie młodzieńca olbrzymieje na silnię ducha męża, gdzie oko głębiéj spogląda i to dostrzega, czego fantazya młodzieńcza dla ruchoméj i wietrznéj ruchliwości nie dopatrzyła.

Liryka wzrosła do potęgi, jakiéj nie łatwo dojrzeć gdzieindziéj; epiczna poezya równać się może z wszelką obcą: jeden rodzaj tylko poezyi nie zakwitł dotychczas, t. j. dramat. Do dramatu poezya jak najprędzéj wynieść się musi, dramat jest przyszłością poezyi. Bezpośrednie, z uniesienia płynące zdroje, huczące szumem, srebrne pjaną, zlać się muszą w spokojniejszą, ale tém więcéj bezdenną nieprzebraność: wtedy to zatknąć będziemy mogli chociaż w dziedzinie sztuki tylko sztandar dopełnienia; świat *piękna narodowego* będzie światem *piękna ogólnego i narodowego zarazem*, bogatym w pałace pobudowane z kamienia *filozoficznéj myśli*.

Powiedziałem przed chwilą, że żadna umiejętność, ani nawet sztuka, nie postąpi kroku, jeżeli ogół narodu nie wzniesie się do prawdziwego, przynajmniéj bliższego prawdy pojęcia. Tu jest miejsce pomówić o tém obszerniéj.

Postęp sztuki — mówię o sztuce najwięcéj duchowéj, a więc o poezyi — u nas jest dramat. On tylko odpowiada czasowi dzisiejszemu i duchowi jego. Dosyć już skarg, płaczów i uniesień; szanuję smutek; ale zadosyć świat ten już łzami oblany, ludzkość dosyć już nachodziła się w kirze. Teraz czas zrzu-

1) O Belletrystyce nie potrzeba się pewnie rozwodzić. Jak wszędzie, tak i u nas obfitość w tym względzie widoczna. Siano to powszednie bujno rośnie, i na ubóstwo skarzyć się nie można. Że zresztą utworów, jak Agaj-Han np., do Belletrystyki nie liczę, o tém nie potrzeba wspominać.

cić z siebie ten całun, poruszyć się z odrętwienia, i zadrgnąć życiem nie tylko w rzeczywistości widoczném, ale we wszystkiém, i słowie i sztuce i myśli. Pomyśliwszy zaś nad tém, jaki ten dramat być ma, aby był godny i wieku i tylu tak dawnych nań oczekiwań, i téj tak kolossalnie zaraz od dzieciństwa stąpającéj poezyi: łatwo pojąć, że krótkie, mgliste, przewiewne, wietrzne, dźwięczne, jedném słowem: *bezpośrednie* natchnienie nie *utworzy* dramatu; chociażby takowe było i najogromniejszém uczuciem i jak grom okropne, i jak ocean nieprzebrane, dramatu zwłaszcza, który nie tylko jednemu narodowi (jak dotąd cała poezya nasza), ale całemu intellektualnemu światu ma być zrozumiały, nie tracąc obok tego piętna pochodzenia i charakteru ojczyzny. Dramatu takiego geniusz tylko twórcą być może; ale najpotężniejszy geniusz niczém nie będzie, jeżeli nie zleje, nie złączy, nie pogodzi i do prawdziwéj jedności nie sprowadzi w sobie wszystkich dążności tegoczesnych, zostających obecnie w walce z sobą. Całą krainę myśli zbadać, stanąć na karku dzisiejszego świata mu trzeba, aby tego dokazał, do czego zanadto słaby i niedostateczny będzie wrodzony talent i bezpośrednia wyobraźnia.

Spojrzyjmy teraz nagle z wymagań i żądań tych na rzeczywistość; coż się tu dzieje? Jeżeli jaką gałąź literatury nieokrzesane prostactwo po swojemu krzesze i ciosa, to bezwątpienia pojęcie sztuki i pojedyńcze jéj dzieła najwięcéj od niego cierpią. Gdybym powiedział, że według przekonania naszych sztuką niby bardzo przejętych czytelników, z góry potępia się utwor, gdy *część jego jaka od całości oderwana* nie odpowiada indywidualnemu ich widzimisiu, przyniesionemu z zewnątrz, z Bógwiekąd, nieopartemu na żadnéj rozsądkowéj podstawie, nie wyraziłbym przez to całego jeszcze dziwotwornego pojęcia o sztuce. Ale więcéj je oznaczę, gdy powiem, kto jest u nas Caremkrytykiem i tą pytią fatalną, która trzęsie całą Litwą, ba! całą Polską! — Tą pytią jest P. Michał Grabowski, mający za przekonanie, że *sztuka jest odwzorywaniem, kopją natury!!*

Podobny widząc stan rzeczy, mogę powiedzieć, że wyjąwszy kilku, cały naród jeszcze poznaniem swojém nie wyrównywa czynności tworczéj poetów naszych. Więcéj dotychczas dają poeci, niż ogół światłéj niby publiczności naszéj pojąć *może* być zdolny. Zawsze jeszcze na stronie poetów zostaje ułamek nieznanéj ilości, ułamek będący właśnie duszą arcydzieła, który póty niewidomy jest i będzie oku rozważającego dzieło, póki się nie wzniesie do *pojęcia*, rozważając, że sztuka jest wolną czynnością ducha, wysnuwającą z siebie właściwe sobie postacie, bezprzestanném przenikaniem się idei z rzeczywistością, *myśli* z zmysłową swoją postacią, *nieskończoności* ze *skończonością*, a pojedyńcze dzieło sztuki pojawem zmysłowym, *z idei* zrodzonym, ideę bezprzestannie obiawiającym, ideą jak ciało duszą przeniknionym, przez duszę upostaciowanym światem, w granicach pojawu swego zamkniętym, nieuznawającym niczego, coby z *zewnątrz przyszedłszy*, wyjaśniać i uzupełniać go chciało.

Uznając konieczną potrzebę wzbicia się do prawdziwego pojęcia o sztuce i utworach jéj, a widząc z drugiéj strony, jak bardzo ogół jeszcze od niego oddalony, nie mogę wstrzymać się od zapytania, dla czego dotychczas przy ocenianiu dzieł sztuki tak pełzamy, macamy i szukamy czegoś, czegośmy nie zgubili. Przyczynę tego łatwo odgadnąć. Jeżeli to prawda, że przez krytykę, a więc przez roztrząsanie i poznanie dzieła sztuki w jego całości, organizmie i przeniknieniu myśli głównéj z formą, idei z pojawem, wyobrażenie o sztuce całéj w ogóle się prostuje, to łatwo ten wyciągnąć wniosek, że nie *możemy* mieć prawdziwego pojęcia o sztuce, gdy krytyka u nas tak rzadkiém jest zjawiskiem, zwłaszcza krytyka, jakiéjbym wymagał: że prócz parę rozbiorów krytycznych Dra. Libelta i J. N. Sadowskiego, naprożnobym czego więcéj szukał w całéj literaturze. Ale jakże u nas o krytyce myśleć? Nam najprzód pytać się przyjdzie o jéj potrzebę, prosić o pozwolenie, jeślibyśmy się odezwać z nią chcieli. We wszystkich krajach uznano potrzebę krytyki, my tylko i w tym względzie chcemy tył oświaty zajmować. Nie rzadkie czytam podjazdy na cały rodzaj krytycznego uważania dzieł sztuki. Przyczyn mnóstwo przytoczonych ma niby dowodzić słuszność zdania. „To, że krytyka odstrasza autorów; to, że się nie przyczynia do oświaty; to, że więcéj szkodliwa niż użyteczna, że zarozumiałością jest występować z krytyką; że na to trzeba sankcyi (!) od narodu i t. d. i t. d.“ Jakkolwiek indywidualne protestacye takie przeciw krytyce na pozór nie stanowią przekonania ogółu, widać jednakże, że zupełnie niezgodni z niemi nie są redaktorowie wielu pism peryodycznych, reprezentujący wielką liczbę czytelników swoich, kiedy je przyjmują i umieszczają w pismach.

Że krytyka 2) nie odstrasza od pracy, i że jéj owszem autorowie wymagają od narodu, mając nieza-

2) T. j. to, co jest prawdziwą *krytyką*, nie zaś to, co pod tą nazwą publiczność nasza powszechnie rozumie. Bo zdaje się, że ogólnie już dzisiaj krytykować znaczy, zaraz

przeczenie do tego prawo, o tém kto się chce przekonać, niech przeczyta n. p. Przedmowę do tomu 3go Poezyi Słowackiego. Mówi tam poeta z wielką goryczą: „Przed rokiem ogłosiłem drukiem w Paryżu dwa pierwsze tomy moich poezyj. Niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze pochłonęła.“ Prawdziwa otchłań milcząca, pochłaniająca z obojętnością, co jéj się rzuci na pastwę!!

Nie zbijając tak błahych zarzutów przeciw krytyce, wymienim nawzajem, jakaby była postać literatury, gdyby była krytyka nie opuściła jéj z pieczy swojéj. Przedewszystkiém ogólniéj byłyby się rozpowszechniły ustalone już gdzieindziéj estetyczne pojęcia. Nie mielibyśmy despotów, którym nie mało jeszcze pouczyćby się trzeba, nimby potrafili słusznie sądzić o dziełach sztuki. Nie siedziałby tak spokojnie (?) M. Grabowski na tronie i nie dominowałby tak absolutnie, jak to dziś widzimy. Mimochodem pozwolimy sobie parę uwag co do niego. Zdaje nam się, że cała jego siła i forsa polega na wykształconym smaku. Gdyby nie smak ten, teorya jego doprowadziłaby go nieraz do wydania sądu o dziele — śmiesznego. Michała Grabowskiego nazwać można jednym z sądu przysięgłych (jures), u których nie prawo samowiedne, na pewnéj oparte posadzie, i niczém niezachwiane, ale naturalny rozsądek rozstrzyga. Co rozsądek ten przewyższa, tam i sprawiedliwość sądu ustaje, inaczéj inne byłby o sobie usłyszał Wasilewski zdanie, jak „że poezye jego są dziecinne!“ Gdyby Wasilewski był naśladował Walter-Scotta, podług którego jak na łokieć mierzy wszystko M. G., czy to liryczne, czy epiczne: natenczas byłby też tyle nasłuchał się pochwał, jak n. p. Kraszewski; ale że Wasilewski „uolbrzymia uczucia,“ a nie „maluje natury“ (wszystko wyrażenia jego), dla tego jest dziecinny.

Daléj: krytyka nie dozwoliłaby znęcać się tak nad dziełami sztuki, jak to każdego czasu widzieć można. Może jesteście ciekawi całego processu od wzięcia utworu poetycznego w rękę ku czytaniu, aż do zapomnienia o nim. Otóż wystawcie sobie nowe dzieło sztuki, szukane, czytane przez wszystkich; po przeczytaniu chwalą, tam ładna scena, tam okropna, tam naturalna, tam odpowiedź naiwna, słowem, chwalą *miejsce przy miejscu*. Z miejscowego takiego wynoszenia i wychwalania drobnostek, naturalnym łatwym sposobem postępują do nagany. Bo i oni mają swoje prawidła, które chcą mieć zachowywane; biada, jeśli gdzie odkryją przestępstwo! Tam skrzywiona wierność historyczna, tam słówko niemoralne! tamten zanadto poufały, dość na tém, dzieło jest szkodliwe, i w krótkim czasie horrendum brać je do ręki, bo tendencya jego nie moralna! Tymczasem zwykle zdarza się, że ideą właśnie i duszą całego tego utworu jest uświetnienie jak najczystszéj prawdy. Tak n. p. wspomnieć możemy dzieło Göthego: Wahlverwandtschaften. Utworu tego celem i ideą jest apoteoza małżeństwa. Uczona publiczność protestuje jednak przeciw niemoralności dzieła tego, w mniemaniu, że Göthe zamierzał uświetnić rzecz zupełnie przeciwną. Ale postępujmy daléj; napisać to, co myślą, ganić autora, (kiedy już ma być ganiony,) wyrzucić mu niemoralność tendencyi, lub niedołężność utworu, to podług ich rozumienia na nic się nie przyda, bo któraż krytyka poprawiła pisarza? (!!) „Trzebaby być chyba albo wielce zarozumiałym, albo mieć namaszczenie (!) krytyczne (na czole?), aby się na to poważyć!“ A więc milczą: jeżeli się zaś z czém który wyrwie, to chwali, chwali do znudzenia (zwłaszcza, jeżeli jest redaktorem pisma, „inaczéj nie przysłanoby mu już artykułu.“) 3) Czemuż chwaląc nie pamiętają, że tylko chwalić pisarza, jestto zasłużyć sobie u niego na lekceważenie? Bo chwalić, nie wykazawszy jaśnie i w szczegółach wszystkiego, co spowodowało do téj pochwały, jestto powiedzieć, nie rozumiem tego, dla tego musi być dobre.

Jest jednakże drugi głos (głos szczery, prawdziwy, nieomylny!), w którym wypowiadają się zdania o utworach sztuki. Jestto rezonowanie pokątne, „prywatne, ustne, przy kominku“ o literaturze i sztuce. Z czémże takie ich gadanie porównać? Nie wiem prawdziwie;

---

szkandalizować, (że tak powiem,) oczerniać, z błotem zmięszać i t. d. Przynajmniéj tyle już razy czytałem podobne rozumienie, i to w miejscach, gdzie się tego nie spodziewałem, iż tak wierzyć muszę. Być może, że z tego fałszywego pojmowania krytyki wypłynęła ta powszechna trwoga, odraza, alarm i postrach śmiertelny, z jakim każdy o niéj wspomina, nie chcąc jéj nikomu powierzyć, jak tylko poświęconemu, (jak zaś i gdzie tego święcenia nabyć, o tém nie wspominają. Dziwno!) co większa, w czasach ostatnich czynem (de facto,) okazało się, że paszkwil, satyra niezgrabna etc. i krytyka jest to samo. Mam w myśli dopiero co upłynione tygodnie. Schlegel zapatrując się na literaturę niemiecką, *mógł* powiedzieć: Die Schriftstellerei ist je nachdem man sie treibt eine Infamie, eine Ausschweifung, eine Tagelöhnerei, ein Handwerk, eine Kunst, eine Tugend. Strzeźmy się, by i o naszéj tego nie mówiono. Cnotą, była oddawna literatura nasza! (wszyscy prawie poeci na wygnaniu; najlepszy dowód!) Sztuką, równie była i jest; ale wyuzdaniem, bezwstydem, teraz dopiero być zaczyna! Boleśnie!

3) Myśl tę czytałem w jedném z pism warszawskich, niepomnę w którém.

jeżeliś z czém, to z dyplomatyką i polityką wyrobników z siekierami na ramieniu, zalegających róg Wodnéj ulicy i Garbar w Poznaniu, którzy sejmikując dzień cały, wypowiadają i staczają wojny na całéj kuli ziemskiéj, o których jednakże, prócz nich, nikt nie myśli. Pokątne takie szepty upokarzać tylko powinny szepczących, bo wydają się sami, że (jak mówi przysłowie) chcieliby, ale nie mogą. Że chcieliby, to widać z téj skłonności do rezonowania; że nie mogą, ztąd, że głośniéj nie śmią się odezwać. Zanadto nużące jest dalsze prowadzenie postępowania tego, dla tego je kończę. Nie wdając się w szczegóły, powiem ogólnie, że nigdy nie uważają na całość, ale na części; nigdy na ideę, ale na pojaw idei w martwém rozdrobnieniu i rozsiekaniu żywego ustroju dzieł sztuki. Można więc powiedzieć, że nie istotę samą, ale suknię tylko zewnętrzną w arcytworach widzą, i zamiast podziwiać tę prawdziwą tajemnicę ducha, tę jednią łączącą i godzącą sprzecznie, przez rozsądek zawsze rozdzielane; to zlanie się nieskończoności w skończoną, oznaczoną i ograniczoną formę; podziwiają błyskotki zewnętrznéj sukni, unoszą się nad jéj kwiatami, lub nad melodyjnym szmerem jéj fałdów.

W całéj swéj prawdziwości okazuje się tu zdanie, które Hotho, 4) na czele przed parę tygodniami wyszłego dzieła swego, jako godło położył: Sie begreifen nicht, was für einer anderen Kultur es bedarf, um sich zum wahren Kunstgenusse zu erheben. Gdyby sztuka na takich dźwięcznościach zewnętrznych się zasadzała, mizerną byłaby cała jéj istota, i nie dziw też, że często dają się słyszeć indywidua, nie mające ani wrodzonego czucia, ani wuczonego poznania istoty poezyi z zdaniami, jak to n. p: „Co mi po niéj, po tém cacku dziecinném? Nie mamże dojrzalszych rzeczy przed sobą, jak poezya?“

Zdaje się, że dostatecznie ugruntowałem przekonanie moje, że póki krytyka nie upowszechni prawdziwszych pojęć sztuki, ostatnia nie zajmie tego stanowiska, jakie jéj zająć należy. Pogodzić narodowość i indywidualne, narodowi naszemu właściwe, zapatrywania się na rzeczy z ogólną oświatą europejską, będzie pewnie jednym z najważniejszych czynów literatury; nie można więc lekkomyślnie i obojętnie zbliżenia się czynu tego wyglądać. Powtarzam, jeżeli nie wzniesiemy ogółu na stanowisko wyższe, i czas upływać będzie napróżno, i literatura w rozproszeniu poniewierać się będzie, a *czas* w położeniu naszém dzisiejszém tak drogi!

Kończącemu rozprawkę niech wolno będzie raz jeszcze spojrzeć na nią, i powtórzyć wszystkie rezultaty przez nią wyjaśnione. Literatura nasza w poezyi tylko wyrównywa innym. Myśli w formie myśli, w pojęciu nie objawiła dotąd narodowi. Dopóki tego nie uczyni, naród nie postąpi na wyższy stopień oświaty; poezyi nawet swéj własnéj nie *pojmie*. By całą literaturą zakwitnął, potrzeba mu (przedewszystkiém uniwersytetu ojczystego, ale potrzebę tę urzeczywistnić nie jest w mocy narodu), przynajmniéj kanałów, w którychby się dążność ogółu zlewała, i nieustanna, żadnéj czynności nieodstępna pamięć, że co dziś się czyni z dobrą wolą, z spojrzeniem w przyszłość zwróconém w imieniu wolności i ludzkości ku dobru ogółu, jeżeli nie zaraz, to w przyszłych czasach obfite wyda owoce. Bo w czasach dzisiejszych jedna myśl postępowa, rodzima, przesłana do ogółu, jest już cegiełką, z których murować kiedyś będziemy wielką świątynię przyszłéj, wolnéj, żywéj i publicznéj narodowości.

M.

Małgorzata z Żębocina.

Powieść historyczna.

(Dalszy ciąg.)

Od wścieklickiéj bramy sadzi białogłowa, mimo dworca Owady; weszła w sień; kołek na klepce dygotnął; zbudził oczy Owadowéj żony, zbudził jaskółkę, modlącą się nad okiem dworca; przez drzwi wleciał wiatr, bojarz leśny, a za nim weszła Helżbieta, Mikołaja Bończy żona.

Od poryckiéj bramy sadzi białogłowa, puszcza dworzec Bończy bokiem, mimo dworca Owady; weszła w sień, kołek na klepce dygotnął, zbudził oczy obu żon Supanowych, zbudził jaskółkę modlącą się nad okiem dworca; odrzwiami wleciał wiatr, bojarz leśny, a za nim Helgunda, Porczyka żona.

Okoliły się ramionami siadając na ławie, pojrzały sobie w twarz, poczém rękawy fałdziste zleciały im aże do kolan, upięcia ich głów odtarły się od siebie, brzeżone taśmy zwisły na czoła, i trzy przepaśnice ich troich adamaszkowych lanów, między piersią a łonem zaciśnione, wróciły w karb, i tak zasiadły Supanowe żony, choża Swatochna, krasna Helżbieta, krągła Helgunda. Poczęły szyć; jedna w kwiaty flamskie płótna, druga jęła kądziel swego lnu, trzecia czehit

---

4) Hotho, prof. przy uniw. berlińskim estetyki. Dzieło to jego ostatnie jest: Geschichte der deutschen und niederländischen Malerei. Pierwsze jego dzieło: Vorstudien zur Kunst und Leben.

swój; a brody ich przy takowéj robocie zaścibiły się w założkę bramowaną bogatą, w złotą kampankę, i ino troje oczu: siwe, czarne i modre, latało w okół stołu, by orzeszne wiewiorki. A gdybyś spatrzył ich przez oko dworca, a miał w sobie ducha dawnego coś, to tak siedzącym za stołem, w szare zagubionym powłoki, przywiódłbyś cielca i cielicę, barana i owcę, kozła i kozę, kura i kurzycę; a kijem bijąc te ofiary, wołałbyś: „To wam ziemniaki, bogi nam!“ *)

A nie pierwszy to dzień, jak siedziały z sobą Supanowe żony bez mężów. Nie pierwszy to rok, ale siódmy, jak Owada Jan, Bończa Mikołaj, Porczyk Byk, kopnęli się z dworców na przetaj na ruski lud; boć im Bolesław król ostrogą był. Pogonił za śniegami na zamróz, a leciał daleko, jak zapadał śnieg. Śniegowi leciał daleko, bo ma skrzydle strzałki; Bolesławowi gonić z nim, bo ma skrzydła husarskie. Śnieg padł aże pod Kijów, król spadł aże na Kijów, i tarabani mieczem u bram, a z nim Supani i Lachy. A lecieli na kształt jednego konia. Bolesław król by głową był w grzywie, Bończa Mikołaj, Porczyk Byk, Owada Jan, szumieli skrzydły, drgali mieczami jak u grzywy włos, w ogonie zaś wielkiego konia zajazdu, szlachetne hufy lackiéj krwi, ów z prawa, ów z lewa, ów bokiem, ów w czoło, bieżali w kijowski mur; i tak się kończył ów koń, którego głową Bolesław król był; a jak z kopyta sadzi się kurz, tako za niemi był ruskiéj krwi.

Dawnoto było!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

*) Ziemniaki bogi; Puschajta, jeden z nich, siedzi zawsze w bzowém drzewie; kolacya jemu zastawia się w gumnach; cztery wielkie sudziny piwa na czterech rogach stołu; potém przywodzą cielca i cielicę, barana i owcę, kozła i kozę, kura i kurzycę, które chłop prosty, po wymówieniu prośby, zaczyna bić po szyi i nogach, mówiąc: „to tobie, o Ziemniaku! boże nasz!“ — Tak opisuje Stryjkowski.

Przyp. Red. Tyg. lit.



Doniesienia literackie.

Gazeta lipska zawiera w No. 216. artykuł z Wrocławia, w którym korrespondent jéj wyśmiewa usiłowania kilku mężów zacnych w Górnym Szląsku, chcących zachować swój, jak go gazeta nazywa, „J a r g o n“, żądających od Rządu, aby nauczyciele wiejscy i miejscy umieli po polsku i aby język polski w Szląsku był zachowany — zachowany w pamięci ludu, by pamiętał, iż i tam ziemia *Polski*. — Że oni nie mówią czystą polszczyzną, to nie wina ludu, lecz wypadków, które Szląsk oderwały od Polski. W imieniu więc narodu *kłamstwo* zadajemy zdaniu korrespondenta, gdy mówi: „Die Nationalpolen lachen über das oberschlesische Polnisch und erklären bei jeder Gelegenheit: daß man dieses G e w ä s c h e nur ja nicht für Polnisch halten solle und dergleichen mehr. — Na to odpowiadamy korrespondentowi: „Die Nationalpolen werden dann erst das Oberschlesische für kein Polnisch halten, wenn sie die Geschichte ihres Landes vergessen.“ — Zacnym zaś obrońcom polskości w Szląsku dzięki i życzenie, aby nieustawali w pracy, w któréj wiele trudów, wiele przeszkód do zwalczenia będą mieli; ale za to na tém większą w d z i ę c z n o ś ć **narodu** sobie zasłużą.

Wspomnieliśmy już o dziele autora: Wallhallas Genossen; sądziliśmy wówczas tylko z szybkiego przeględu. Dziś gdyby jaka redakcya odpustu żądała, pewnoby go redakcya Tygodnika odebrała, przeczytała bowiem to dzieło. — Coby też Polacy powiedzieli, gdyby ich Niemcy języka polskiego uczyć chcieli; a cóż powiedzą Niemcy, gdy Polacy od ich królów lepiéj po niemiecku pisać będą. Co to za styl w tém dziełku! Zgroza! A autor podobno reprezentantem chce być naukowości w Niemczech i — za takiego uważany jest. Kiepsko z literaturą niemiecką, jeżeli król (którego jednak Niemcy dotąd uważają jako najbardziéj wykształconego i najbardziéj ucywilizowanego z swego narodu), pisze zdania tak błędne, jakie w każdém gimnazyum u nas nawet Polaków w najniższéj klassie nauczyciel języka niemieckiego przekreśli. Weźmy n p. następne zdanie z przedmowy: „Die kurzen, hier folgenden Andeutungen, sind alle fast a b e r nicht bloß Auszüge eines großen Werkes, gleichfalls von Wallhalla's Gründer, d a s größtentheils aus Geschichtsbüchern und Lebensbeschreibungen entnommen; d o c h auch e s besteht nicht bloß aus Entnommenen.“ (!!) Zamiast wystawienia Wallhalli, mógłby autor przyjąć sobie nauczyciela języka niemieckiego, aby Polacy, którzy jak dawniéj znali francuzki, tak dziś niemiecki język, dla poznania gruntowniéj jego literatury, znają, z jego niemczyzny się nie śmiali.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.